

Hans Christian Andersen dla dorosłych i dla dzieci

Janina Katz

Pytanie pierwsze: dlaczego kochamy Andersena? Odpowiedź (według profesora Pimki): bo wielkim poetą był.

Pytanie drugie: co mi zostało z tych lat? Odpowiedź: *Słoneczko* Buyno–Arctowej i związane z lekturą wieczne poczucie winy (idealny charakter dziewczynki–Słoneczka nie nadawał się do naśladowania), koszmary po obowiązkowej lekturze braci Grimm, melancholijna słodycz baśni Andersena (z niezrównanymi ilustracjami Szancera). Z późniejszych lat: sporo dzieł literatury skandynawskiej i poemat Gałczyńskiego *Śmierć Andersena*.

Kilkanaście lat po mojej emigracji do Danii otrzymałam od przyjaciółki prezent: opasły tom baśni i opowieści z dedykacją: „ukochany klasyk”. I tak odkryłam prawdziwego Andersena: filozofa, ironistę, poetę najwyższej klasy, mistrza cyzelowanego literackiego słowa, który potrafił również przenieść do literatury mowę potoczną, język mówiony. Teraz mam okazję przeczytać Andersena w tłumaczeniu na polski – po raz pierwszy z duńskiego oryginału – które oddaje pisarzowi sprawiedliwość. W przekładzie Bogusławy Sochańskiej ukazał się tom baśni złożony z 30 utworów, z ilustracjami duńskiego malarza Fleminga B. Jeppesena, opatrzony zwięzłym, trafiającym w sedno posłowiem tłumaczki. Ilustrator uprawia stylizowany realizm: jest oszczędny w kolorach, daleko mu do przepychu Szancera; rozsądnie towarzyszy tekstowi, nie wzbogacając go.

W *Słowie od tłumaczki* Sochańska cytuje fragment listu pisarza do jednego z przyjaciół: „*Moje baśnie są w takim samym stopniu dla dorosłych, jak i dla dzieci (...) dzieci rozumieją tylko anegdotę, a dopiero jako dorośli dostrzegają i pojmują resztę (...) naiwność to tylko część moich baśni (...) w gruncie rzeczy to humor nadaje im smak*”. W przekładzie Bogusławy Sochańskiej ukazuje się zimą, również w wydawnictwie „Media Rodzina”, trzypomowe wydanie wszystkich baśni Andersena. Jest ich 167.

W prezentowanym tomie zwróciła moją uwagę różnorodna długość utworów: od dwustronicowej *Księżniczki na ziarnku grochu* do czterdziestostronicowej, mojej ulubionej, *Królowej śniegu*, „*baśni w siedmiu częściach*”. To ona zasiała na zawsze w moim sercu lęk przed okruciami manichejskiego lustra.

Andersen, podobnie jak inni pisarze skandynawscy, był wielokrotnie w Polsce tłumaczony. Pod tym względem do końca XIX wieku panował w Europie prawdziwy wspólny rynek. Tłumaczono go, podobnie jak w innych krajach europejskich, przede wszystkim z niemieckiego, częściowo z francuskiego. Ogromną popularność zdobył przekład Cecylii Niewiadomskiej, która, niestety, „poprawiała” teksty pisarza, ulogiczniając je, niekiedy nawet to i owo dopisując. W latach dwudziestych ukazało się w jej translacji broszurowe wydanie baśni u Gebethnera i Wolffa.

W roku 1931 baśnie wyszły w przekładzie Stefani Beylinowej w oficynie Mortkowicza. To właśnie na nim wychowały się pokolenia polskich dzieci. Na tłumaczeniu gładkim, lekkostrawnym, świetnym nawet... jeśli się nie zna oryginału. Nie chodzi tu tylko o wyraźne językowe błędy czy niezrozumienie treści – tego jest stosunkowo niewiele – bardziej o nieznaną rytmu języka oryginału, który w tej, tak bardzo przecież poetyckiej, prozie jest niezmiernie istotny. I o zmianę intencji pisarza. Pojmowany jako autor dla dzieci, Andersen domagał się według tłumaczki – a być może według tłumacza na niemiecki – pedagogicznych uproszczeń. Mówiąc inaczej: Beylinowa na wiele lat upupiła Andersena. Odała go z ironii, aluzji, krytyki ludzkich wad, namiętności, humoru. Za tym tłumaczeniem poszli poloniści, którzy traktują Andersena wyłącznie jako pisarza dla dzieci.

Język duński, na pewno nie najpiękniejszy na świecie jako zespół dźwięków, jest bogaty w niuanse gramatyczne, w podskórną intonację. Być może, choć tego nie jestem całkowicie pewna, należy poznać życie i problemy autora, a także duńską kulturę – społeczne podłoże okresu, w którym pisał – aby te niuanse wychwycić i prawidłowo przekazać w polszczyźnie. W dodatku w polszczyźnie współczesnej, oddającej wszakże język epoki, w której baśnie powstawały.

Sochańska zna nie tylko znakomicie język duński – jest z wykształcenia duńskim

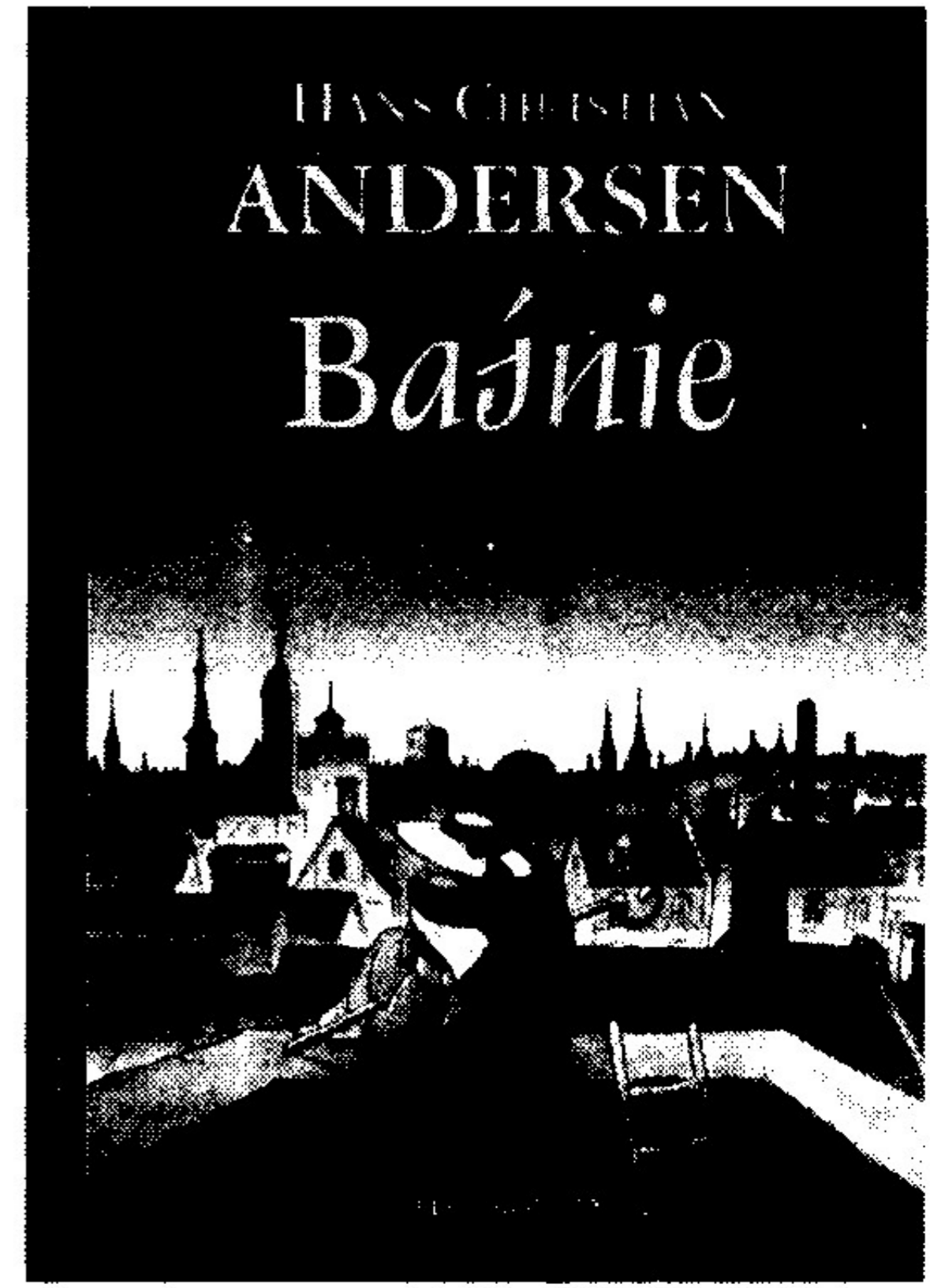
**Hans Christian Andersen
BAŚNIE**

/ przeł. z duń. Bogusława Sochańska ; il. Flemming B. Jeppesen. – Poznań : „Media Rodzina”, 2005. – 352 s. ; 24 cm. – Zł 39
821.113.4–93

filologiem i mieszkała wiele lat w Danii. Posiadła ogromną wiedzę o czasie i autorze, studiując biografię Andersena, dzienniki, listy, powieści, całą jego ogromną pozabaśniową twórczość. Wyczulenie na melodię obydwu języków pozwoliło jej oddać rytm baśni. Ma językowy słuch, pasję literaturoznawcy i... talent. Bo w tej profesji nawet dogłębna znajomość języka i mrówcza pracowitość nie wystarczają bez boskiego natchnienia.

Kusi mnie, żeby powiedzieć, że wgrzyzła się w Andersena z czułością sępa (jak powiada jedna z moich przyjaciółek). Ale sępa mądrego, lojalnego, głęboko oddanego swojej ofierze.

Nie do mnie należy pisanie donosów na Stefanię Beylinową, do której mam uza-



sadniony sentyment. Więc tylko dwa przykłady z wielu: *Brzydkie kaczątko* i *Śniegowy bałwan*. W pierwszym nieścisłości i przeinaczenia. W drugim, historii o namiętnej, unicestwiającej miłości tytułowego bohatera do rozpalonego pieca, Beylinowa nie zrozumiała, że piec jest płci żeńskiej. Obiektem miłości bałwana.

A skąd ja to wszystko wiem? Stąd, że z wykształcenia jestem polonistką, od 35 lat mieszkam w Danii, gdzie tłumaczyłam polskich poetów, prozaików i dramatopisarzy. Wprawdzie jeszcze ciągle nie mogę powiedzieć, że jestem dwujęzyczna, ale potrafię odróżnić wierny i piękny przekład od mniej wiernego i mniej pięknego. To pierwsze połączenie jest ponoć niemożliwe; potocznie powiada się, że przekład jest jak kobieta: jeśli jest piękna, nie jest wierna, jeśli wierna, nie jest piękna. Na szczęście zdarzają się wyjątki.

Gratuluje tłumaczce i polskim czytelnikom. Nie można tego wydania przecenić. Odpowiednie dać rzeczy słowo – należy do triumfu pisarza. Odpowiednie dać słowo słowo – jest triumfem, i nagrodą, tłumaczy literatury pięknej.